

# MACIEJ MELECKI

## ĆMIENIA

Wychodź poza supły, w najdalszą poniewierkę napięć ciasno splatających twój  
Każdy krok, przecinając liny najbliższego ugoru rozkrzewionym ruchem  
Dośrodkowych zejść w prostopadłe piwnice ostatnich zaludnień, przekroczywszy  
Wszak już dawno obwód swego cienia w płaskim rzucie krótkiego nasłonecznienia,  
Zanim zasieki zostaną zwarte, uszczelniając dookolny rewir, zawężając łyko  
Miejsca do pokrowca pokoju i trzech ścian. Ćmienia wypełniają każdy przybytek

Chromeo bólu, krążą po arteriach soczystego zachodzenia na nieskoszone  
Łąki małomównych wejrzeń w ropne rozwarcia, kiedy jesteśmy już poddani  
Tylko leczeniu, terminowym przedłużaniom trwania na kolcu chronicznego  
Ujadania, oddalając wyrok zagłuszaniem naciskanych klawiszy, torów niezagiętej  
Przestrzeni prędko ześlizgującej się w niepochwytny rów wytrzebienia  
Wszelkiej ulgi, owego wąskiego przedziału, wypuklenia nikłego, jak bywa z

Każdą bańką zamkniętą w szklanym oku poziomicy, stojącej w rogu za drzwiami,  
Upapranej cementem i zaschniętym piachem, ścierającej nam kanty tego  
Przechylenia, na użytek tej jedynej trwałej wartości, jaką zdaje się chwila  
Nieruchomienia wobec agresywnego bezliku bodźców kawałkujących opar  
Rzadkiego ściszenia. Obrzyn spodu kruszy się śladem nieprzebytych nigdy do  
Końca utarczek z przyszłym wydalaniem. Wytracanie następuje już teraz.

Bukłak jest pełen rtęci. Twoje wybory kierunkują niewidzialne macki społecznego  
Truchła. Nieobliczalny poziom tutejszej zastoiny sroży się po każdym zwarceniu  
W burzowym przesyle nic nieznaczących informacji, napędzających wiązadła  
Dławiących dynam, ukrytych w wywlekanych potrzebach, abyś bynajmniej nie  
Mógł o niczym krewkim zapomnieć, w pojedynkę rozłupując kolejne porcje  
Zbrzylnych kostek lodu, liniejąc jak schnące na balkonowych linkach szmaty, gdyż

Karbowany jest port każdej woli, ażeby dreny przyszłych roszczeń wchodziły weń  
Aż po dno zakrzepniętej krwi, tworząc następne łożyska próżni dla zjawy  
Krzepkiego spadku. Oto kąty drucianej klatki i rychłe szacowania niepoliczalnych  
Razów, podstępnie czających się w rogowatym mroku mielizny tego roku. Ścina  
Cię jak żyłę masywny kant mrozu. W tej chłodni skryć grabieje oddech, odtaje  
Strach. Pod powierzchnią żwiru rozpoczyna się rozsiew wirów. Odmarza wrzący lej.

## RAFY MIERZW

Wypiętrzone oznaki dawnego pobywania w sztywnych przegubach rytmu dnia  
Wydadają się teraz prześnionym, niepojmowalnie stałym skręcaniem w bezdenne  
Ciągi wzmożonych szarpnięć, bezlikiem ściągnięć smyczami poleceń. Nie było  
Mnie nigdzie bardziej niż właśnie tam, na szczycie mrowiska betonowego bloku,  
W kaftanie koślawych, porannych przemieszczeń, szarawych powrotów i  
Wyparc spiralnych wybyć, zatem południowe wezwanie do zabrania reszty rzeczy,

Smagające domaganie się usunięcia po sobie uwierających śladów, perforowało  
Taśmę tego oddalenia, prasując strzępy niegdysiejszych struć w wysoko  
Oktanową kostkę ostatecznej utraty, wyraziście powiększając tego właśnie dno.  
Nacięcia wciąż broczą, zaschnięta rdza to niezmywalny naciek, kraj przechylony  
W stronę błotnych brodzień, który szmatami wmawiań pęta ręce od tyłu.  
Niezmienne pogorszenia zestalają się w lodowatą flamę, w której, od góry

Oświetlonej, dookoła porusza się tłumek zimowych zmór. Kasacja urazów  
Zacina się raz po raz, zębátky blokują się wzajem, i wyprzęganie z tych dyszli  
Jest znakiem orientującym przyszły, wymachujący coraz większą pięścią, rok,  
Byś grzążył się zawczasu w skuleniach, owych przekątnych waśni, jakie szykują  
Ci zmętniały już teraz wybory, krzepliwe niczym doświadczenie nie tylko  
Wewnętrzne, za co z pewnością odpowiada niescalone, dwoiste ja, dyfuzyjny

Rozrzut arbitralnie niwelujących się strat, i jak gwałtownie wyrwany krzak,  
Szpikujących każde wskazanie błędnym cugłem, cyrkulacją gryzącego swądu  
I przedymionych wyziewów, które tworzą naturalną już atmosferę, podzielność  
Wrażen i stały przekop kasłającej dali. W tym zezłomowanym siodle narowistych  
Wkroczeń w coraz szerzej rozpostarte grzędzawiska, najbliższe chodniki i  
Pobliskie wypyska, czai się stromy ruch przyspieszonego odrętwienia,

Zespolenia z bezkształtem odpadu, jakim nawarstwia się proces bieżącego  
Rozpadu, grań naszych rojeń o niechybotliwym życiu poza więzadłem  
Galwanizującego stresu, żrącej masy prymitywnych arabesek, grud wysuszonej  
Mazi, pęków kluczy i czczonych amuletów stagnacyjnej pustki. Rapy wymiotnych  
Odmów, twardo ubitych mierzwi poszczególnych zmuszeń, prędko cyrklowanych  
Zmian planów, co do danych uwag zsyłanych niepodzielnie, jak pionowy strumień

Ziaren z silosa, wypełniają coraz szczelniej tę zmiętą soczewkę wykraczania,  
Podchodzenia i odchodzenia z niczym, kołowrót całego, szczelłego życia,  
Porcjowanego na wąskie i ciasne przedziały relacyjnych napięć, owych wykwitów  
Drobnych starań, gdyż jest się tylko niepowierzonym czemukolwiek, postradanym  
Zewem ciernistej zamieci. Pasy bezpieczeństwa regulują twój kąt wykrzywienia.  
Przestrajaniem rośnie spadek. Zator wyzbyć. Rozrzucany kompost zajść.

## SPŁOWIENIA

Odchodzący w niebyt śnieżny ślad czyjegoś zwiadu zostaje do końca w gromkim Powidoku, przepala ci krtań wystający z jego strzępu lont i rozsypuje się mozaika Dłutowanych stanów, w których mościłeś się przez ostatnie zasieki zdławień. Świat to jeno zaułek migotu, chlorowany i sporadycznie maskowany rów, prędko Przepływ mrowiących zerwań, zbitka zsiniałego życia, nastrajanego w swych Sztolniach przez drętwe nic. Napór wodnistych dni nastaje po każdej suchej Przerwie, układa się w wilgotne palisady, tworząc bezforemne rewiry dla Dalszych przebiegów truchtającej mocy, ażeby stadia poszczególnych faz mogły Wyszarpywać coraz to nowe postaci z przebieranego stosu widm, i w kolistych Ujęciach dawały o sobie jeszcze bardziej znać szczuciem i jękiem, przemianami I zatorami, słupami wrzaw, i by spękane pokrywy celu, wystrzeliwując jak race, Lewitowały nad rozdrobnionymi głowami, szukającymi możliwości nowych

Ziszczeń. Dokąd byście poszli, niczego stamtąd nie przywleczenie, rozłupana Wieża mroku pozbawi orientacji każdy poziom uwag, i mieszając trajektorie gwiazd, Rozpulchniając każdą piędź kroku, wyłamie wam zawiasy z futryn danych chcień. Przenika nas promieniujący ugór, rośniemy plamami zwidzeń w przekrzywieniach Bezkątowych spraw, drobnicy racjonowanej przez zawiadawców wypychanej szklaną Watą próżni, zrównujemy się przeto progami, przekraczaniem których musimy Się zajmować od czasu wejścia w ten przesmyk tarć, tracąc nieustannie na swoim Przybieraniu ciała, gnilnej masy ku której zostaliśmy powołani, a na przeciwnych Brzegach odbywa się korowód cieni, radosnych skupisk, celebrujących ciepło i Jasność swych wolnych chwil, bo tylko takie przejawy okazywane sobie i innym, Świadczą dla was o żmudnych potrzebach, jakie są waszym stałym saltem. Ciąg Lunatycznych scenek mroczy się w półśnie. Kabel wystający ze świeżo skopanej

Ziemi to punkt dojścia, moment zasznurowania nakrapianej dali, płowienia warstw  
Gruntu pozostałego jeszcze do przesiania, kiedy obywasz się już bez pamięci  
O przedmiotach czy rzeczach, owych akcesoriach minionego, nie tak dawnego  
Rytmu organizującego sekwencje wspólnego gospodarowania, dzielenia się  
Zniewagami. Rychły wędół przyszłego zatracenia już teraz rozstępuje się w kokonie  
Bieżącej jawy, ginie po tobie skuwka echa, rośnie osocze cembrowanych zmian,  
Którym ulegnie się za każdą cenę, nie wypluje cię bowiem żaden sztorm rosnących  
W kimś klęsk. W takim wędzidle zmierzasz w stronę coraz to większych usztywnień.  
Dookolność to człękokszałtna podłota. Z szybu wyziewa czad. Wywietrznik dławi  
Się drapiącym dymem. Jeszcze jeden przeciąg, jeszcze ileś naście szarpnięć. W tej  
Komórce lokalizuje cię radar czyichś spiętrzonych starań. Oto ciemnostan  
Rażeń. Bez kierunku rośnie niewidzialnie meta, bez ustanku wiry przybliżają dna.